

Kronika tygodniowa.

W pierwszej linii, zanim przystąpię do porządku dziennego, jaki sobie na bieżący tydzień ułożyłem, niech mi będzie wolno złożyć głęboko i z serca odczute podziękowanie pod adresem Szanownego Korespondenta z Radomyśla nad Sanem, za troskliwość o losy mej najdroższej Weronisi.

Pan ów pisze:

„W ostatniej kronice tygodniowej ani słówkiem nie wspomniał Pan o swej najdroższej Weronisi... Czemuz to przypisać? Na temat ten w naszym miasteczku wiele i różnie mówią... Radziłbym (jako nieznany przyjaciel), celem uspokojenia Czytelników, podać w najbliższej kronice powód owego niezwyklego milczenia...”

Aby uspokoić opinię publiczną w Radomyślu nad Sanem, reprezentowaną przez Szanownego Korespondenta, pospieszam donieść, iż czcigodna moja połowica ma się zupełnie dobrze, choć od czasu do czasu narzeka na przypadłości żołądkowe, których nabawiła się skutkiem opłakanych stosunków aprowizacyjnych, w jakich żyjemy. Zwłaszcza chleb z trocinami nie smakuje jej wcale i z tego właśnie powodu poleciła mi, bym się postarał o jak najrychlejsze zakończenie wojny. Posłuszny jej żądaniu, które dla mnie jest rozkazem, pisałem w tej kwestyi do Lloyd'a George'a, Poincarégo, Wilsona i Kiereńskiego, ale dotąd nie otrzymałem odpowiedzi. Wybierałem się nawet do Sztokholmu na kongres socjalistów, nie otrzymałem jednak od władzy domowej pozwolenia na wyjazd, a od Redakcyi żądanych kredytów. Stało się może i dobrze, że zostałem w domu, gdyż widzę, iż się obeszlą bezemnie. Ponadto jest Weronisia ogromnie przygnębiona z powodu, iż jej pomysłowość obiadowo-twórcza napotyka ciągle na różne przeszkody *ex re* braku tego lub owego artykułu spożywczego, co ją nieraz naraża na małżeńskie konflikty z głową domu, to jest ze mną. Polak, gdy głodny, jest zły, nie też dziwnego, iż, stając w obronie mego kronikarskiego żołądka, zagroziłem jej nawet rozwodem wojennym, o który mam się zamiar starać w Biurze aprowizacyjnem magistratu. Są wojenne śluby, ciekawy jestem, dlaczego nie mielibyśmy wprowadzić i wojennych rozwodów!...

Pozatem ma się zresztą zupełnie dobrze (jak już wyżej powiedziałem, a co raz z mych ust wyszło, tego nigdy nie cofam!...) i nie jej nie brakuje, prócz dwu trzonowych zębów i tego, czego brakuje i innym. Czego zaś brakuje u nas każdemu zwykłemu śmiertelnikowi, o tem chyba wiedzą i w Radomyślu nad Sanem, czytając ciągle powtarzające się uarzekania na najrozmaitsze braki. Choć mieszkańcy prowincyi nie zdają sobie może z tego sprawy, żyjąc w warunkach zgoła innych, niż wielko-mieszczuchy. Tam knrki znoszą jajka, jest maselko, rzodkiewka, młoda cebulka, my musimy się obchodzić tylko smakiem i żyć wspomnieniami lat przedwojennych, kiedy było lepiej, oraz nadzieją, że po wojnie znów się wszystko poprawi.

Kwestya jednak, czy się wojna skończy i kiedy, bo oto klina zabiła nam w głowę rekwizywcy skórek króliczych i kozich, co kazałoby przypuszczać, iż pozwoli przygotowujemy się do czwartej kampanii zimowej, a tej już chyba nikt nie pożąda.

Zresztą, mając w ostatnich czasach głowę zajęta aprowizacją, nie mogłem się zbyt rozczulać nad Weronisją, nie przypuszczając nawet, iż może to znaleźć oddźwięk aż w Radomyślu nad Sanem!

I dziś, gdyby nie owa korespondencya, byłbym nie ruszał wcale Weronisi, ale w dalszym ciągu białad nad rozmaitymi brakami, co miało być dalszym ciągiem sprawozdania z „nadmierzającego” posiedzenia Rady miasta, na którym słyszało się tylko różne „zwyczajne” narzekania, ale zarazem i pociechę, by nie upadać na duchu, gdyż może być... jeszcze gorzej. Ponieważ brakło już cukru, a sacharyna jeszcze nie nadeszła, by nam osłodzić gorzką dolę, obiecano, iż Rząd, by nam dać rekompensatę za brak maki i ziemniaków, postara się o ułatwienie nabywania mięsa, naturalnie nie w dni postne!... Niestety (to słowo powtarza się coraz częściej), niema widoków, by to się miało spełnić w niedalekiej przyszłości, gdyż ten zapas bydląt rzeźnego, jaki jest jeszcze w kraju, tak p.d. każdym względem wyniszczonym, jak Galicya, przede-
ważnie musi iść w pierwszym rzędzie na potrzeby wojska, no i dla większych zachodnich miast w monarchii, by ich żołądki zbyt głośno nie mruczały. Z innych krajów koronnych nie do nas nie przywiozą.

Jednem słowem, perspektywa bardzo miła!... Ziemniaków i maki brak, jedz więc mięso, ale, ponieważ i tego brakuje (ale będą zato kartki mięsne!...), liż łapę i obejdz się smakiem.

Wobec tego i ja — że użyję słów pana wiceprezydenta Federowicza — umyвам ręce (choć mydło drogie!...), zrzucam ze siebie wszelką i pełną odpowie-

dzialność za wszystko, co jeszcze z tego powodu wydarzyć się może w przyszłości i, nie czekając bynajmniej na oklaski P. T. Czytelników, przechodzę do czego innego, by potem znów do aprowizacyi powrócić.

Głodnemu chleb na myśli!

W pierwszym więc rzędzie stwierdzam z ubolewaniem, iż w ubiegły piątek nie mogłem z powodu deszczu dokonać obiecanych obserwacyi astronomicznych. Po dziesiątej wieczór wracałem wprawdzie do domu, nad sobą widziałem przecież tylko dziurawy parasol. Przepowiadałem, o ile pamiętam, deszczyk na Zielone Święta, była to więc woda na mój młyn i dowód kronikarskiej nieomyślności, niestety, pomyliłem się znowu, gdyż od niedzieli rano mieliśmy bardzo piękną pogodę, tak, że wspaniale udał się festyn w parku dra Jordana na dochód Towarzystwa „Czerwonego Krzyża”. Ja tam osobiście nie byłem, gdyż brakło już dla mnie miejsca, takie było zatrzęsienie festynowiczów, krążyłem natomiast pilnie po placu Wszystkich Świętych, gdzie, korzystając z uroczystości Zesłania Ducha świętego, który rozjaśnia umysły, zebrali się w magistrackim wieczerzniku nasi posłowie i politycy i radzili nad tem, co było, co jest i co będzie. Wprawdzie nie mówili różnymi językami, jak się to n. p. dzieje w austriackim parlamencie, ale tylko po polsku, poruszyli wiele kwestyi, jakie zaś, o tem każdy się już dowiedział z komunikatów w pismach codziennych, kronikarz więc nie potrzebuje tego powtarzać. Kłócono się troszkę i nawet wyprawiano za drzwi, ale tylko w sposób zupełnie parlamentarny, by rozerwać nieco zgromadzonych, znudzonych monotonią obrad.

Równocześnie wieczerzali też i nasi światłodawcy (Towarzystwo Nauczycieli Szkół wyższych), co zaś uchwalili, wiedzą też P. T. Czytelnicy z pism codziennych, wobec czego, jak wyżej!

Na żadnem z wyżej wymienionych zebrań nie byłem, gdyż mnie nie zaproszono, nie mogę więc służyć własnymi sprawozdaniami i uwagami, zwłaszcza, że pierwsze było zbyt polityczne, drugie zaś wyłącznie fachowe, boję się zaś wspomnieć o „oświeceniu” bodaj umysłowem, bym przypadkiem nie zawadził znów, dajmy na to, o brak nafty, oleju i innych tym podobnych artykułów, bo pisanie o samych tylko brakach, może się każdemu sprzykrzyć. To jedno wiem, i to z ust bardzo wiarygodnych, iż panowie posłowie bardzo są zadowoleni z uruchomienia parlamentu, głównie ze względu na dyety poselskie, światłodawcy zaś nie gniewają się wcale, iż rok szkolny ma się w Krakowie skończyć już w dniu dziesiątego czerwca. Im co bowiem, taka już dziś zasada, później się rozpoczyna, tem prędzej powinno się kończyć. Zapadła pono uchwała, i to jednomyślna, że, ze względu na zdrowie młodego pokolenia, wakacje powinny być jak najdłuższe, a rozpoczęcie nowego roku szkolnego ma być odłożonem aż do czasu ewentualnego ułożenia, aprobowania i wydrukowania nowych podręczników dla naszych gimnazjów i szkół realnych, przewidzianego przez c. k. Radę Szkolną krajową.

Wakacje mogą sobie być jak najdłuższe, na to się zgadzam, choć członkiem Rady Szkolnej krajowej nie jestem i daję na to z góry swoje *placet*, ale z drgiej znów strony, wchodząc w intencye tych, którzy zakończenie nauki w szkołach naszych chcą przyspieszyć, pragnąłbym, by ta młodzież rzeczywiście wyjechała na świeże powietrze i tam zabrała się do pracy, choćby nawet fizycznej, ale nie wałęsała się bezcelowo po ulicach miasta, tracąc niepotrzebnie czas i zdrowie. I o tem powinni pomyśleć panowie światłodawcy, a dopomóż im ogół społeczeństwa.

Wcześniejszy początek wakacyi wywołany został coraz cięższym przednowkiem, wobec czego znajduję znów sposobność do powrócenia do spraw aprowizacyjnych, które mi w ostatnich czasach zajmują się z taką lubością.

Przedewszystkiem więc wspomnieć muszę o zmniejszeniu racyi chleba na głowę (raczej żołądek!) i dzień, następnie zaś o braku maki chlebowej, wobec czego w najbliższym czasie mamy otrzymać tylko chleb biały, co może być znów powodem narzekania Wiedeńczyków, iż żyjemy sobie, jak „pączki w masle”. Ponieważ zaś biały chleb nigdy tak nasycić nie potrafi, jak czarny, nie zatem dziwnego, jeśli w następnym tygodniu wzmogą się narzekania na stosunki aprowizacyjne.

Ponieważ zaś nie samym chlebem człowiek żyje, ale i... piwem, które jednemu potrzebnem jest dla nabrania fantazyi, drugiemu dla uspokojenia nerwów, trzeciemu dla tem lepszego trawienia i t. d., a piwa brak coraz bardziej daje się już we znaki, magistrat z rozpaczą załamuje ręce, nie wiedząc, jak złemu zaradzić. Podobno owo „umywanie rąk” od tego, „co z tego powodu wydarzyć się może w przyszłości”, odnosiło się właśnie do niezadowolenia piwoszczów, wzrastającego z każdym dniem. Pan wiceprezydent Federowicz, zajmujący się nadziewaniem i nalewaniem obywatelskich żołądków, liczy się z tem bardzo poważnie, ale czuje, że jest bezradny, gdyż woda, a nawet wino,

piwa nie zastąpi. I niedługo nadejdzie już może czas, iż pod gmach magistratu pociągnie korowód strapionych postaci z okrzykiem na ustach: „Piwa!”...

Bo, proszę sobie tylko wyobrazić, na jakie przykrości narażonym jest człowiek, przyzwyczajony co wieczora „wysławować” sobie kiszeczki trzema lub czterema bombkami pilznerka, marki B. B. Po pierwsze, tego specyału już nie dostanie, a jeśli który z szynkarzy zapewnia, że sprowadza tylko „prawdziwe B. B.” ma o tyle rację, iż po niem bolą rzeczywiście bebechy. Zamiast piwa, dają ci za drogie pieniądze obrzydliwą lurę, na którą przed wojną nikt nie byłby nawet spojrział, a tem mniej kupił, chyba celem łowienia karakonów, i to jeszcze musisz się bawić w szybkobiegacza i telepatę, by się przedewszystkiem domyslić, gdzie dziś można dostać piwa, a potem, by się tam udać we właściwym czasie, to jest nie zbyt wcześnie, gdy piwo jeszcze nie nabite i nie zapóźno, gdy już „wyszło”.

Zuam jednego jegomościa, który z polecenia lekarzy (każdy pozwolił mu po jednej bombce) spuszcza codziennie wieczór w swą czelusć żołądkową trzy „duże”. Według zwyczaju dąży do swej knajpki, ale tam, ku wielkiemu swemu zmartwieniu, dowiaduje się, że dziś piwka nie będzie. Zabiera się więc dalej i o miedzę znajduje lokal, a w nim piwo, zamawia więc szklanekę, nim ją jednak skończył, dowiaduje się, że już piwa brak. Nie pozostaje więc nic, tylko iść dalej, czyli, mówiąc słowami poety „puścić się na fale losu”, jeśli się bowiem nie jest „sztangastem” piwa można w knajpce nie dostać. Gospodarz powiada: „Mam, ale dla swoich gości!... Do ciepłej kolacyi bombka, bez kolacyi jedno małe!...” I ma rację! Dla świętego spokoju i milej zgody zamawia więc ciepłą kolację, choć mu się jeść nie chce i zabiera ją w papier „dla psa”, byle tylko dostać ową upragnioną dużą szklanekę piwnego nektaru! A jak to boli serce, gdy się przyjdzie do knajpki, poprosi o piwo i dowiaduje: „Przed kwadranssem się skończyło!...”

Także i ceny piwa doszły już do absurdu! W jednym z lokali piłem niedawno piwo z jakiejś fabryki czeskiej, czy morawskiej, płacąc za bombkę tylko... koronkę i dziesięć halerzy, pocieszono mnie jednak, gdy się zbyt martwił, iż niedługo znów podrożeje!... A jaki znakomity smak tego piwa, jakie skutki!... Możemy się śmiać z braku oleju rycynowego. Te resztki, które aptekarzom zostały, mogą sobie sami wypić, my mamy surogat w postaci piwa, wszystko jedno, krajowego, czy zagranicznego, bo i jedno i drugie dyabła warte!... Magistrat, chcąc uspokoić wzburzone umysły, powinien zakupić przynajmniej jeden browar i rozpocząć warzenie piwa we własnym zarządzie. Po wojnie, gdy nastaną lepsze czasy i zaświta nam znów kielbasa wyborcza, własne piwo może oddać nadzwyczajne usługi.

Brak chleba i piwa, jest zato szpinak, ale z koni-czyni (zupełnie tak samo, jak tytoń „purszczan” z liści plantacyjnych kasztanów!). Przyrzadza się go zupełnie tak samo, jak prawdziwy, z dodatkiem jajka i śmietany (jeśli się je ma!). Urzędowy przepis powiada wyraźnie, iż spożywanie jej absolutnie zdrowiu nie szkodzi i nie pociąga za sobą żadnych przykrych następstw. Należy jednak być umiarkowanym w jedzeniu, nieraz bowiem, będąc na wsi, słyszałem, iż krowa, objadłszy się młodej koniczyzny, zachorowała „na wzdęcie” i musiało się ją zarznąć, co zaś stało się krowie, łatwo stać się może i łakomemu człowiekowi, lubującemu się. Choćby w wojennych nowalijkach. Co zaś ma bodaj jaką taką styczność z wojną, bywa zwykle niestrawnem. *Caveant* więc *consules*!

Figę natomiast, przynajmniej jak dotąd, pokazały chrabąszczce, które władze kazały zbierać, suszyć i dawać kurom za pokarm. Widocznie dowiedziały się o tem (naturalnie chrabąszczce, nie kury!) i dotąd, choć maj już minął, nie pokazały się wcale, wobec czego same sobie będą musiały przypisać winę, iż nie przyczyniły się do ułatwienia aprowizacyi kraju, a tem samem odbudowy Galicyi! Kto wie, czy nie każą i nam jeść chrabąszczców, skoro święty Jan, bawiac na pu-styni, mógł się żywić szmaragzami, które smakiem bardzo chrabąszczce przypominają. Tak mnie przynajmniej uczono, sam tego dotąd nie próbowałem.

I teraz dopiero widzę, jak to ludzie mają różne usposobienia, czyli, że różne są na świecie gusta i guściki. Choćby nie chciał, mimowoli wracam ciągle do spraw aprowizacyjnych, gdy tymczasem inni moi koledzy po piórze i nożycach zajmują się daleko donioślejszymi sprawami, dajmy na to, czy potrzebną nam jest teraz opera i jaka. O ile mnie się zdaje, wszyscy dziś tak cienko śpiewamy, iż bardzo łatwo możnaby zebrać odpowiedni zespół, radziłbym jednak zatrzymać się, niech się tymczasem wojna skończy, bo głodny ogół nic na tem z pewnością nie ucierpi, że Kraków nie ma opery, bez której jakoś się przecież dotąd obcho-dził.

